Andrzej GRZEGORCZYK

SOLIDARNOŚĆ – ETHOS CZY PRZYJĘCIE LOSU?

Jesteśmy powołani do wielkich wewnętrznych wysiłków i przeobrażeń. Chodzi w nich głównie o to, aby serca nasze były otwarte i czyste w momencie decyzji.

Sprawa „Solidarności" to nie jest tylko sprawa ethosu, w zwykłym, psychologicznym lub socjologicznym sensie tego słowa. W ogóle sprawa dzisiejszego świata, to nie jest tylko sprawa postępowania ludzi. Dzisiejszy świat ludzki bez boskiej ingerencji byłby skazany na zagładę. Ludzie doszli do tego, że zbyt wiele od nich zależy. Pan Bóg nie może dziś zostawić ludziom swobody robienia z tym światem tego, co chcą. Musi ratować nas samych przed nami samymi.

Naród polski nie jest specjalnie uprzywilejowany, ale może mieć ważne powołanie. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, co i jak liczy się z przeszłości. W przeszłości naszego narodu były ważne decyzje wiążące nasz naród z Bogiem. Były ślubowania, oddania, były poważne zbiorowe modły i sakramenty. Można przypuszczać, że Bóg poważniej od nas traktuje wytworzone z nim związki. Przeszłość nie determinuje przyszłości. Człowiek może odwołać swoje zobowiązania. Póki żyjemy, jesteśmy wolni w swoich decyzjach, ale wypowiedziane słowa się liczą i wyznaczają warunki, w których Bóg ustanawia powołania dla grup i dla jednostek.

Dziś ludzkość stanowi dość spójny splot narodów mocno powiązanych różnymi więzami. Każdy naród i każda jednostka ma swoje powołanie. Nie jest ono wyznaczone jednoznacznie, dopuszcza szereg wariantów. Świata nie da się dziś zrozumieć inaczej jak tylko, jako będącego w dialogu z Bogiem, który wzywa, naprawia to, co człowiek psuje i ciągle daje nam nowe szanse.

Zarówno pytania ankiety „Ethosu", jak i list redakcji zapraszający do udziału w numerze poświęconym „Solidarności", sformułowane były w poetyce świeckiej. Powiedziałbym nawet więcej, w poetyce tworzącej świecki mit „Solidarności" i mit jej ethosu. Powstawanie mitów społecznych jest zjawiskiem naturalnym, ale łatwo prowadzącym na intelektualne manowce. Na początku stanu wojennego ktoś z działaczy solidarnościowych powiedział nawet, że teraz trzeba świadomie tworzyć mit „Solidarności", którym podobnie jak mitami powstań będą się żywić następne pokolenia. Nie musi on być w szczegółach prawdziwy, ale musi być wielki. (Stąd krytycznie też odniósł

się do moich analiz, w których występowałem przeciwko wszelkiej mitologizacji). Wielu ludziom wydawało się wtedy, że z „Solidarności" zostanie tylko wielki mit. Tymczasem lata pierwszej „Solidarności" (1980-1981) były ważnym etapem przemiany, dojrzewania ludzi, zarówno elit, jak i mas. Potem przyszły etapy dalsze. W końcu przecież psychicznym przemianom zawdzięczamy trwałe, jak się zdaje, instytucjonalne zmiany w kraju zaczęte rozmowami przy „okrągłym stole".

W wymienianiu wszystkich etapów i wszystkich czynników, które przyczyniły się do obecnego stanu, trzeba by się cofać w daleką przeszłość. Ostatnimi wydarzeniami na tej drodze, mającymi charakter opatrznościowy, były wizyty papieskie, ale też po prostu praca ofiarna wielu ludzi pełnych zapału i wiary. Również i te czynniki byłyby bezsilne, gdyby nie towarzyszyły im wewnętrzne akty uznania prawdy i dobra przez setki czy miliony ludzi, którzy w swym życiu wewnętrznym, w pewnych momentach stawiali na prawdę i dobro; bronili się wewnętrznie przed zakłamaniem i zniewoleniem, nawet gdy zewnętrznie im ulegali. Dlatego pytanie o sukcesy i porażki „Solidarności" wydaje się pytaniem powierzchownym i dostosowanym raczej do perspektywy człowieka niewierzącego. Dla wierzącego nie ma zwycięstw ani porażek. Są tylko dary Bożej łaski oraz wezwania i próby. Są oczywiście też nasze wybory – dobre lub złe. Wybory dobre, przeciwne własnym egoistycznym dążeniom, można nazwać zwycięstwem, a uleganie pokusie egoizmu można nazwać porażką. Są to jednak na ogół zwycięstwa i porażki niewidoczne, a i do nich też potrzebna jest łaska. Natomiast walka z drugim człowiekiem, zwycięska w kategoriach ziemskich, jest duchowo zawsze porażką: zwycięstwem może być tylko pojednanie.

Może więc największym zwycięstwem „Solidarności" był sam przebieg strajku sierpniowego w 1980 r., odbywający się bez wódki, w modlitwie, w nastroju najbardziej bezinteresownego poświęcenia i bez wrogości do kogokolwiek. Potem, po zewnętrznym sukcesie powstały wewnętrzne upadki. W całej robocie organizacyjno-politycznej nastało pewne obniżenie duchowe, szukanie ziemskich kluczy do ziemskich spraw i związana z tym atmosfera walki, zacietrzewienia, wrogości. Było w tym stawianie na ziemskie sposoby i ziemskie sukcesy – i dlatego musiało się to skończyć ziemską porażką.

W czasie tzw. stanu wojennego były rzeczy ważne: duchowa postawa wielu ludzi internowanych, wytrwała i bez rozgłosu praca nad sobą licznych grup ludzkich, ofiarna działalność takich osób, jak np. ks. Jerzy Popiełuszko. Teraz zbieramy plon tych wewnętrznych zwycięstw. Ci, którzy przeszli te doświadczenia, są dziś dojrzalsi do prawdziwej społecznej służby i dla nich zaczęło się teraz powołanie do wielkiej społecznej służby, do wysiłku, ofiary i troski o całość kraju. Można uważać, że Pan Bóg postawił ich w sytuacji wielkiej próby, wielkiego pytania: czy są w stanie poświęcić się naprawdę, przekroczyć różne schematy swoich środowisk, podjąć odpowiedzialność za los narodu, podjąć się ogromnego trudu naprawy zdemoralizo-

wanych struktur, w których wszyscy tkwimy, do których jesteśmy przyzwyczajeni.

Oczywiście do żadnej roli nikt nie jest zdeterminowany. Wszystko zależy od naszych decyzji. Rok 1981 był okresem fundamentalnych doświadczeń. Większość ludzi była do niego duchowo nie przygotowana. Dlatego m.in. został on częściowo zmarnowany duchowo. Niestety Polacy często nie chcą się sami uczyć. Pan Bóg musi więc nas uczyć poprzez stany wojenne, zabory i okupacje. Gdyby Lech Wałęsa miał takie przygotowanie, jakie miał Gandhi i jakiego nauczyli się jego następcy: Lanza del Vasto, Gossowie, Martin Luter King, Helder Camara, Cezary Chavez, – to by w różnych momentach 1981 roku, np. w Radomiu, rozpoczął głodówkę oczyszczającą ruch. Myślę, że i dziś bez pewnego dobrowolnego umartwienia nie da się rozwiązać niektórych spraw. Chrystus nie bez racji powiedział, że są takie duchy nieczyste, których nie da się wyrzucić inaczej, jak tylko przez długie modlitwy i posty (por. Mt 17, 21).

Naród zdemoralizowany przez rządy oligarchiczno-dyktatorskie musi się odrodzić duchowo. Przede wszystkim muszą się odrodzić duchowo elity. Inaczej żadna reforma się nie uda. Filipińczycy 1986, podobnie jak Polacy 1989, odnieśli poważny sukces w zakresie demokratyzacji. Ale okazało się, że bez ofiar ze strony posiadaczy dalszej istotnej poprawy (np. reformy rolnej) nie można tam przeprowadzić. Wszędzie egoizm grup, warstw lub formacji politycznych stanowi główną przeszkodę w postępie społecznym. My też stoimy przed potrzebą reedukacji czy resocjalizacji dużej części narodu, ażeby nowe (np. „urynkowione") metody gospodarowania nie stały się prymitywną walką o byt lub o bogactwo, prowadzącą do nierówności, krzywd i dalszego wyzysku (nie przez organizm państwowo-nomenklaturowy, jak do tej pory, ale przez dobrze zorganizowane prywatne grupy następców poprzednich wyzyskiwaczy).

Z roku na rok stajemy przed wyzwaniami coraz trudniejszymi. Dzisiaj są to wyzwania ogólnonarodowe, a nawet już ogólnoludzkie. Poświęcenie się elit może się okazać niewystarczające. Może potrzebny jest nam ascetyzm masowy? Na nasze tzw. „socjalistyczne" zboczenie społeczne nakłada się dzisiaj zboczenie ogólnocywilizacyjne. Jak daleko można iść po drodze cywilizacji przemysłowej w jej dotychczasowym kształcie? Nie wiadomo, czy jest do powtórzenia w skali 6 miliardów ludzi w początkach XXI wieku to, co pozwoliło krajom bogatym stać się takimi lub zachować swoje bogactwo w XIX i XX wieku.

Jakie jest więc nasze powołanie w tej sytuacji, czy pchać się do czołówki bogatych, która się bogaci nie dbając o resztę ludzkości (czy droga taka jest dla nas w ogóle możliwa?), czy też powołaniem naszym jest właśnie wypracować wzory dla biednych, iść razem z innymi, szukać rozwiązań dla wszystkich, a nie starać się wyrwać do przodu? Ten wybór wiąże się z ethosem zarówno społecznym, jak i indywidualnym. Na obecnym etapie ważniejszy

od ethosu walki politycznej staje się ethos indywidualnego bogacenia się, dbania o swoją, ale też i o zbiorową egzystencję.

Strajki 1980 były żądaniem reform generalnych, wyrażały troskę o wartości uniwersalne. Strajki 1989 są już raczej żądaniem poprawy partykularnych interesów. Każda grupa ma prawo zabiegać o swoje interesy. Ale co innego powinno być dziś troską podstawową ludzi społecznie aktywnych. Powinno nią być moralne odrodzenie grup, struktur i jednostek. Dobro zbiorowe nie zrodzi się z samych partykularnych egoizmów. Filozofia liberalizmu gospodarczego była tylko do pewnego stopnia korzystna społecznie. W krajach zachodnich była ona stale równoważona przez ruchy, partie, Kościoły i jednostki zaangażowane w dobro powszechne.

Potrzebna jest koncepcja generalna przekraczająca egoizmy. Co znaczą np. wyrzeczenia, o których mówią politycy, że są dla nas konieczne? Kto, czego ma się wyrzec? Jeśli tak, to trzeba opisać jakiś styl życia, ideał, wzór konsumpcji i do niego dostosować dalsze reformy. Bez takiego ideologicznego programu mówienie o wyrzeczeniach jest eufemistyczną zapowiedzią odgórnych ekonomicznych restrykcji czy represji. Chcemy nie tego przecież, ale programu przemawiającego do sumienia i ideologicznego zaangażowania w ten program ludzi aktywnych społecznie, w równym stopniu, jak potrafią być zaangażowani w walkę o partykularne interesy.

Program chrześcijańskiej aktywności nie jest nigdy samym tylko programem zewnętrznej aktywności, ale jest zawsze też programem przekształcania samego siebie.

Musimy się więc często pytać: co nas buduje, a co nas gubi i niszczy?

Może jest przede wszystkim tak, że buduje nas chwila szacunku dla drugiego człowieka, tolerancja dla jego odmienności i uznanie tajemnicy jego indywidualnego rozwoju. A niszczy nas wrogość, nieuznanie w drugim dobrej woli, dbanie o własny interes lub własną ważność indywidualną lub zbiorową.

Chrześcijanin nie może traktować życia politycznego jako terenu walki ani jako sprawy techniczno-administracyjnej. Życie polityczne jest dane jednostkom i grupom jako moralne wyzwanie i moralna próba, przede wszystkim próba stosunku do drugiego człowieka, otwartości na innych, miłości – w tym też może najbardziej – próba miłości do nieprzyjaciół... Chrześcijanin posłany jest na świadectwo trudnym wartościom. Chrystus powiedział, że do wzajemnej solidarności zdolni są też poganie, natomiast chrześcijanin ma pójść dalej: kochać nieprzyjaciół i dobrze czynić tym, którzy go prześladują (por. Mt 5, 43-48). Do samego dbania o gospodarczy interes kraju Pan Bóg nie potrzebuje wzywać chrześcijanina. Chrześcijanina Bóg powołuje do życia politycznego dla świadectwa wartości najwyższych, przede wszystkim prawdy i miłości do każdego człowieka.

Z miłości i szacunku płynie:

– objęcie wszystkich swoją troską, niewystępowanie przeciwko ludziom, nawet jeśli potępia się ich czyny,

– podejmowanie się rzeczy trudnych, trudnej współpracy i odpowiedzialności narażającej na krytycyzm, wiele wysiłków, czasem nawet niezrozumienie ze strony bliskich,

– ofiara dobrowolnie przyjęta, cierpienie, a nawet samoumartwienie (posty i modlitwy) niezbędne dla oczyszczenia swojej intencji i swojego otoczenia. Stałe kontrolowanie tej intencji, zatrzymanie się, gdy się zauważy, że własny lub grupowy prestiż lub interes przeważa nad troską o wszystkich.

Nie było np. dla mnie jasne świadectwo chrześcijaństwa ludzi, którzy na wiosnę 1989 r. słusznie bronili ideałów demokracji w Chinach, ale w tych samych demonstracjach bez szacunku wypowiadali się o generale Jaruzelskim. Uważam, że należy docenić pozytywną ewolucję wielu ludzi koalicji rządowej, nie deprecjonować ich postaw jako powierzchownych. Niektórzy ludzie, ongiś partyjni lub prorządowi, przeszli ewolucję gruntowną wcześniej, potem byli liderami opozycji. (Można mieć do nich najwyżej tylko pretensję, że nie dokonali publicznego wyznania swych dawnych win. W ten sposób ułatwiają innym przeskakiwanie z jednej strony barykady na drugą bez płacenia wewnętrznych kosztów. Nawet jeśli ktoś jest represjonowany za zmianę poglądów, to dobrowolne uniżenie się własne ważniejsze jest od represji przychodzących z zewnątrz.)

Jesteśmy powołani do wielkich wewnętrznych wysiłków i przeobrażeń. Chodzi w nich głównie o to, aby serca nasze były otwarte i czyste w momencie decyzji. Zwłaszcza dziś, w sytuacji, gdy naród całą swoją ufność i nadzieję złożył w ręce jednolitego Senatu i tych 35 % Sejmu, może jacyś chrześcijanie są wezwani do wielkiego cierpienia, trudu, a może męczeństwa, przed którym nie godzi się bronić? Może są potrzebni i powinni się poczuć powołani: ministrowie-męczennicy okresu przejściowego? Pokorni naprawiacze rzeczy i struktur zniszczonych przez innych, borykający się do umęczenia ze skorumpowanym aparatem, niedocenieni, lekceważeni przez młodych gniewnych ludzi, ale pracujący mimo to, bardziej jako społecznicy w swoich resortach, odrzuceni może potem na śmietnik przez następną fazę, która w atmosferze tryumfu zasiądzie w znacznie wygodniejszej sytuacji i zbierać będzie zasługi historii... W pokornym naprawianiu tkwi chrześcijańskie przebaczenie tym, którzy psując przez swoją bezmyślność lub prywatę skrzywdzili nas wszystkich.

(Pisane: maj–czerwiec 1989 r.
przed powstaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego. A. G.)